

Karol Toeplitz

Instytut Filologii Polskiej PAP Słupsk

„Ojczyzna to ziemia i groby”*

PAMIĘĆ

Groby – to pamięć. Zakotwiczeni jesteśmy w przeszłości i do niej sami przejdziemy. Jak długo istnieją groby? Jak daleko sięgamy pamięcią wstecz? Groby przypominają nam ludzi oraz ich dokonania. Ale po kilkudziesięciu latach zrównuje się je z ziemią, albo, jak w przypadku starego żydowskiego cmentarza w Pradze, chowa się następne pokolenia nad poprzednimi, a to, co widać, to od XIII wieku któraś tam już warstwa zakopanej pamięci i zapomnienia, pamięci utrwalonej w kamieniu i przysypanej warstwą kolejnych kamieni. Groby to spuścizna, rzadko długotrwała. Najwybitniejsze postaci chowa się w panteonach, na cmentarzach zasłużonych itp. bądź stawia się im pomniki; to pamięć zakuta w spiżu. Jesteśmy dzisiaj świadkami (aktywnymi lub biernymi) i uczestnikami upadku z cokołów. Spadające z cokołów postaci to zatarcie pamięci, to próba wymazania kogoś z pamięci indywidualnej i zbiorowej, to tworzenie (!) historii na nowo, to odnawianie przeszłości, to tworzenie nowych obrazów pamięci, też zakuwanych w trwałym materiale, aby nie zapomnieć... To paradoks: pamięć, coś ze wszech miar niematerialnego, wymaga materialnego utrwalenia! Ulotność pamięci petryfikowana musi być materialnie – inaczej zaczyna ginąć, aż zginie bezpowrotnie w mrokach przeszłości... Groby pokrywa ziemia zapomnienia... Słowo, jeśli nie stanie się ciałem, niechybnie zginie.

John Reed opisuje, jak bezpośrednio po rewolucji październikowej w Rosji zdejmowano z cokołów postaci carów i dowódców wojskowych

* To napis nad wejściem do starego zakopiańskiego cmentarza na Pęksowym Brzyzku.

(Kutuzowa, Suworowa i in.) po to, aby po kilku zaledwie miesiącach przywrócić ich na miejsce... Cokoły nie lubią stać długo puste; naród pozbawiony pamięci traci swoją tożsamość, naród musi chcieć i umieć swoją przeszłość, pamięć, utrwalić – w przeciwnym razie traci swoje zakorzenienie, traci pamięć.

*

Wiemy już, że pamięć historyczna (i nie tylko) jest czymś selektywnym. Usuwa się z pamięci to, co gorszące, haniebne, dyskredytujące, to, o czym chciałoby się zapomnieć. Stąd różnica między spuścizną a tradycją. Odwoływanie się w Europie do tej ostatniej *en globe* (wyróżniają ją na przykład zwroty w rodzaju: ‘kultura śródziemnomorska’ czy ‘tradycja judeochrześcijańska’) musi budzić zastrzeżenia, ponieważ mieszcza się w tej przeszłości, przykładowo, rzezie dokonywane na synodach i soborach w związku ze sporami ikonoklastycznymi, wojny krzyżowe (w tym rzeź mieszkańców Konstantynopola w czasie czwartej wyprawy dokonana przez wojska chrześcijaństwa zachodniego), spalenie Jana Husa i Giordano Bruno przez Kościół rzymskokatolicki, ale i Michała Serveta przez protestantów, inkwizycja, rzeź hugenotów, wywłaszczenia katolików w krajach protestanckich, pogromy Żydów, holocaust itd. itp. Otóż, abstrahując od podobnych wydarzeń i odwołując się jedynie do nieodróżnianej przeszłości, „Tak »zjednoczeni« – pisze Leszek Kołakowski – bylibyśmy barbarzyńcami w ścisłym sensie tego słowa”¹.

Międzynarodowa Komisja Teologiczna, podlegająca Rzymskiej Kongregacji Nauki i Wiary, opracowała w związku z Jubileuszem 2000-lecia specjalny tekst zatytułowany *Memoria ericonciliazione. La Chiesa e le colpe del passato* (Pamięć i pojednanie. Kościół i jego przewinienia w przeszłości). Z kolei w bulli *Incarnationis mysterium*, ogłaszającej rok Wielkiego Jubileuszu, papież domaga się „znaku oczyszczenia pamięci, domaga się od wszystkich, aby w akcie odwagi i pokory uznali błędy tych, którzy nosili i noszą miano chrześcijan” (n. 11)². Nie idzie więc o zamazywanie przeszłości, o jej przemilczanie, o wykreślenie z pa-

¹ L. Kołakowski, *Szukanie barbarzyńcy*. W: *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, Londyn 1984.

² Cyt. wg abp A. Nossol, *Perspektywy działań ekumenicznych na trzecie tysiąclecie*. W: *Pojednajcie się*, Bielsko-Biała 2000, s. 135 i n.

mięci, ponieważ zbyt bolesne były (i częściowo nadal są) to rany, częstokroć niezabliźnione. Z teologicznego punktu widzenia „pamiętać znaczy się modlić”, dodajmy: modlić się o przebaczenie, które ma być nowym początkiem. Na nic się zdadzą próby zatarcia w pamięci zdarzeń haniebnych; im się wprawdzie pomników raczej nie wystawia, ale właśnie one tkwią, jak drzazga w ciele, długo nie ulegając zapomnieniu, a przez to jątrząc wciąż na nowo, jak nie zagojony wrzód na ciele.

*

Pamięć ludzka jest krótka. Cóż po człowieku pozostaje? Zamysł tego tekstu zrodził się częściowo dziesięć lat temu; zmarł był wybitny lekarz, humanista, autor głośnych *Rozmyślań o przemijaniu*; Jego pogrzeb stał się inspiracją do spisania kilku uwag; nie było jednak wcześniej okazji do opublikowania ich. Nadeszła. Cóż więc po człowieku pozostaje? W przypadku myśliciela: książki, artykuły i ewentualnie uczniowie. Ci ostatni na ogół zapewniają, że o swoim nauczycielu do końca swoich dni nie zapomną, będą pamięć o nim pielęgnować. I to dobre.

Jednak pamięć ludzka jest zawodna, mimo najlepszych intencji. I jest to zrozumiałe, gdyż życie codzienne ma swoje wymagania. „Ostanie” się więc taki Człowiek w rzeczach, a i to nie On, lecz zaledwie skondensowana cząstka Jego przemyśleń, Jego pracy, zmateralizowana, wydrukowana przez anonimowych zecerów, drukarzy czy uwieczniona, w przypadku rzeźbiarza, w spiżu. Zostanie po Człowieku znikomy ślad jego kilkudziesięcioletnich zmagañ z ludźmi i wcale nie wiadomo, czy najważniejsze myśli nie zeszyły wraz z tym Człowiekiem do grobu. Jego książki i artykuły będą czytane, a dzieła rzeźbiarza podziwiane. Stwierdzono jednak, że zmiana pokoleniowa czytelników następuje po około ćwierć wieku. I co dalej będzie z pamięcią o Człowieku-autorze, może profesorze? Kilka karteczek w katalogach, wzmianki w encyklopediach, a i to tylko przez czas jakiś. Powoli wszystko zmierza ku... zapomnieniu – w pamięci, zasypane zostanie przez piasek pustyni, pokryte przez wybujającą zieleni...

Nie ludźmy się, pamięć ludzka rzeczywiście jest zawodna i krucha.

Krótką mową pogrzebową usiłuje oddać burzliwe, trudne życie, czasem radosne, czasem smutne i tragiczne, akcentując jednak dorobek materialny i duchowy tego, który odszedł. Niezależnie od tych ocen, ży-

cie każdego człowieka warte jest, by o nim pamiętano; i to, które mogłyby uchodzić za wzorzec, i to nawet, które powszechnie osądzamy; to ostatnie oczywiście jako przestroga dla następnych pokoleń. Czy już z tego względu nie powinno się rzeczownika ‘człowiek’ pisać z dużej litery?

Człowiek to cała skomplikowana książka, którą trzeba umieć czytać, która zawiera wszystko o człowieku i, mówiąc paradoksalnie, jeszcze nie dającą się wyartykułować resztkę... A w przemówieniach nad otwartą mogiłą usiłuje się wcisnąć ten skomplikowany żywot w granice kilku minut, pięciu, dziesięciu. Tyle się ogarnia pamięcią? Tylko tyle i aż tyle? I cóż się eksponuje? Najczęściej to właśnie, czym powinno się pogardzać: rzeczy. To, co zmaterializowane. U jednych książki i artykuły, u innych mosty, domy, domki, jeszcze u innych lasy i drzewa, posadzone ręką zmarłego, konstrukcje – rzeczy, rzeczy i jeszcze raz rzeczy.

Kiedy chodzimy korytarzami muzeów, przewodnicy i napisy mówią nam o tym, kto daną rzecz (eksponat) pozostawił po sobie, kto daną maszynę wynalazł, skonstruował i do czego miała (ma) służyć. Rzeczy, rzeczy, rzeczy. Ważny okazuje się efekt działania człowieka, nie on sam! Rzeczy są bardziej trwałe od pamięci, od człowieka, od ich twórcy. Czy to człowiek rządzi nimi, czy też raczej one – wbrew deklaracjom – rządzą nim? Zabiegamy o nie, walczymy o nie, zabijamy się o nie, krążymy wokół nich, są przedmiotem naszych marzeń, kiedy są nieosiągalne... a kiedy są osiągalne, są przyczyną radości, nawet jeśli się je po żmudnym wysiłku, czasem strasznych wyrzeczeniach, wreszcie zdobędzie.

W innym człowieku cenimy – jakże często wyłącznie – jego cieleśność. Nie idzie już tylko o wybory miss czy mistera; mężczyźni taksują kobiety patrząc na ich figurę, a czynią tak „wielcy” i „mali”; mówi się o określonym typie kobiety, że ma na przykład „rubensowskie kształty”, ale nie eksponuje się „psychiki Kleopatry” czy „mądrości Ateny”. Kobiety też nierzadko oceniają mężczyzn według kryterium... przystojności; oto przedmiotem pożądania może być Apollo-artysta, w dodatku jeszcze w wykonaniu wybitnego aktora – byłego kulturysty – kiedy ten był jeszcze dużo młodszy i występował z odpowiednią charakterystyką; podobnie gwiazdy światowego kina spędzają sen z oczu niejednej niewiasty... Oceniamy więc ludzi według ich fizycznego wyglądu oraz ich sprawności i na nic się zdadzą zaprzeczenia. Ale czy nie zanadto często redukujemy człowieka do jego cieleśności?

Małżonkowie Sartre i Beauvoir zwracali w swoich utworach literackich uwagę na fakt antynomiczności poznania drugiego Człowieka; chciałoby się zgłębić jego niepowtarzalność, przeniknąć psychikę, poznać ją, może nawet identyfikować się z drugim Człowiekiem. Najpełniejsze możliwości daje pod tym względem miłość (co eksplikowało od zarania chrześcijaństwo, Ludwig Feuerbach i wielu innych), a w niej finalne fizyczne zbliżenie; i co jest najistotniejsze w kulminacyjnym momencie? Cieleśność, odpowiada zgodnie francuskie małżeństwo. I nawet jeśli są to tezy dyskusyjne, trzeba o nich pamiętać, brać je pod uwagę.

To rozumiame, że pragniemy nie zapomnieć o niektórych naszych antenatach, jednak przypominamy sobie o nich dzięki rzeczom, najczęściej. To muzea, właściwe i te w naszej pamięci. A to fotografia danej osoby, a to rzeczy przez nią używane, a to miejsce wspólnego przebywania, a to jej wytwory... Pogoń za rzeczami może tedy mieć, poza celami czysto pragmatycznymi i doczesnymi, także sens głębszy, nie zawsze uświadamiany, co też należałoby uwzględnić. Pamięć ludzka za pośredniczona jest przez rzeczy! I właściwie rzadko i krótko tylko jest inaczej, gdyż bezpośredni kontakt psychiczny z daną osobą wygasa wraz z jej ostatnim tchnieniem, natomiast siła wyobraźni nie może jej zastąpić przez dziesiątki lat, nie mówiąc już o całych wiekach. Przyznajmy się: Marek Aureliusz to dla nas puste imię – choć wiemy wcale niemało o jego dokonaniach, o *Rozmyślaniach*, które w oryginale lub tłumaczeniu możemy przeczytać.

Kiedy zanikają i wreszcie znikają więzy psychiczne, cóż pozostaje? Dokonania, a pośród nich dominują... rzeczy. Rzeczy, które mają i mogą być pozornie tylko synonimem zwycięstwa ducha nad naturą, nad materią. Czemuż więc je potępiamy? Czy nie czynimy tego zbyt pochopnie? To rzeczy przypominają o ludziach, przez nie ludzie żyją i dzięki nim pamiętamy o ich twórcach. Dopiero kiedy zniknie ślad ostatniego dokonania czy rzeczy, dopiero kiedy z pamięci ludzkiej zginie naprawdę ostatni ślad, dopiero wtedy ginie Człowiek, ginie bezpowrotnie. I dlatego szanując rzeczy, szanujemy Człowieka. Życie, które nie pozostawia po sobie trwałych śladów – jak powiada Herzen – zaciera się przy każdym następnym kroku. Tak więc prawdziwy humanizm musi się objawiać wobec rzeczy pochodzących z przeszłości. Manifestuje on pośrednio szacunek wobec twórców, wobec Człowieka, bowiem uznanie dla Człowieka jest zarazem wyrazem uznania znaczenia Jego wytworów.

Ludzie, którzy po śmierci „żyją” jedynie w pamięci osób, „żyją” krócej w porównaniu z tymi, których potomnym przypominają ich zmateriałizowane dokonania. I dlatego nie martwi mnie owo „zwycięstwo” rzeczy nad Człowiekiem, bo one właśnie są wytworami Człowieka.

Ale, prawdę mówiąc, po cóż Człowiekowi pamięć innych? Czy nie był szczerzy Marek Aureliusz, kiedy pisał: po mojej śmierci nic mnie nie wzruszy, ani to, że będą mówić o mnie źle, ani to, że będą mówić dobrze; mnie to już nie będzie dotyczyć... A jednak. To banalnie proste, bowiem pamięć jest ważna dla potomnych, którym zmarły był bliski. W judaizmie nie ma gorszego przekleństwa nad to: „Oby świat o tobie zapomniał!”.

Zapytajmy więc: czy nie dlatego ludzie dbają o to, by o nich nie zapomniano po śmierci? Dlaczego prawie każdy dąży do tego, by móc powiedzieć: *exegi monumentum aere perennius*? Dlaczego? Dlaczego na epitafiach cmentarnych nierzadko czytamy kolejną łacińską sentencję: *non omnis moriar*? Skąd to przeświadczenie, że nie cały umrę? Dlaczego ludzie życzą sobie przed śmiercią takiego napisu na kamieniu nagrobnym? Czy nie po to, by utrwalić się w pamięci potomnych, by „żyć” po życiu, tyle że w pamięci!?

Przypatrmy się na chwilę jeszcze pozostałościom po starożytnym Egipcie. Historia licząca pięć tysięcy lat. I cóż widzimy? Już wtedy na skałach wędrowcy pozostawiali po sobie napisy, swoje imiona, czasem nawet wcale dobrze zachowane podobizny. (Czy ludzie rzeźbiący dzisiaj w korze drzewa serduszko oraz inicjały, swoje i ukochanej osoby, czymś się różnią od starożytnych Egipcjan?) Po co? Żeby potomnym dać znać, że tu byli?! Przecież my o nich niczego konkretnego nie wiemy, widzimy nic nam nie mówiący napis, zapis imienia. Po co im to było? Czyż nie chcieli utrwalić, pośród rzeki zapomnienia niosącej coraz to nowe wody, czegoś trwalszego, pamięci o sobie!?

Napotykały więc na ślady przeszłości, na ślady ludzi, którzy odeszli, a są one niejednakowe, jedne bardziej czytelne, inne zatarte. Są tacy, którzy swoje ślady celowo zacierają, nie chcą potomnym niczego przekazać, świadomie odchodzą w niepamięć.

Są jednak i tacy, którzy ślady zacierają tylko po to, by ich nie można było odczytać jednoznacznie – to pogląd Emanuela Levinasa³, który tak

³ Por. J. Tischner, *Filozofia dramatu*, Kraków 1998 oraz E. Levinas, *O Bogu, który nawiedza myśl*, tłum. M. Kowalska, Kraków 1994.

właśnie pojmuję Boga. Wiemy, że On był, zostawił ślad, zatarł go i oddalił się. Dlaczego? – znowu to nieznośne pytanie. Jeśli człowiek jest obrazem Boga, powinien kroczyć śladami Tego, kto ślad pozostawił, a to oznacza nakaz realizowania apelu, który w tym śladzie jest zawarty; ślad zatarty, albo tylko rozmyty, to „nie = obecność Boga w świecie”, to – powtórzmy – apel do wolności człowieka, by szukał tych śladów, co wcale nie oznacza konieczności szukania jego przyczyn, to apel o „zbliżanie się do innych, którzy też kroczą śladem” – powiada, niekontrowersyjnie zresztą, ten czołowy przedstawiciel filozofii dialogu. Droga do Niego (nie jest to więc deizm) prowadzi poprzez drogę zbliżania się do innego człowieka, bądź/i wspólne kroczenie wraz z nim po pozostawionych śladach, wspólne... to nie znaczy jednakowe. Mówiąc inaczej: liczne ślady przeszłości (czy to materialne, czy też duchowe) nie są jednoznaczne, trudno nadzwyczaj o dwa jednakowe odczyty zjawisk kulturowych, co pozwala na różnorodne ich interpretacje, które zależą w jakiejś mierze od każdego człowieka, jak to ma przykładowo miejsce właśnie w przypadku fenomenu wiary.

Wróćmy jeszcze na chwilę do Egiptu. Piramidy. Ileż tysięcy, dziesiątków tysięcy ludzi pracowało przy ich wznoszeniu. Co o nich wiemy, kim byli, co czuli, co myśleli wnosząc te cuda świata antycznego, podziwiane po dziś dzień? O nich, tych „szarych” ludziach, o każdym z nich oddzielnie praktycznie nie wiemy niczego. Chwała należała się bogowi Re i jego reprezentantowi na ziemi, faraonowi. Co wiemy o nim, a jeśli coś wiemy, to czy nie na podstawie rzeczy przezeń i przy nim pozostawionych? Nie uwolnimy się od rzeczy, od skamielin przeszłości, to także nasza przeszłość, chociaż bardzo, ale to bardzo odległa.

I wreszcie judaizm, korzenie kultury śródziemnomorskiej. Więź ludu wybranego z Bogiem też musiała mieć „pośrednika”, był nim ‘Święty Namiot’, widoczny znak, traktowany jako miejsce obecności Boga, wreszcie Arka Przymierza i zbudowana na jej miejscu Świątynia, zbudowana w miarę dokładnie (jak i Święte Namioty) – jak głosi Pismo św. (3 Kr, 5-7) – według zaleceń Boga-Ojca.

Świątynia Jerozolimska – zbudowana na górze, na której według podania Abraham o mało nie uśmiercił swego syna Izaaka – była widzialnym, materialnym i rzeczowym dowodem, znakiem wybrania. Kiedy Nabuchodonozor ją zburzył (w 586 r. p.n.e.) należało ją czym prędzej odbudować, żeby utrwalić widoczny znak Jego obecności, co też stało

się kilkadziesiąt lat później (ok. 519 r. p.n.e.). Zburzyli ją całkowicie dopiero Rzymianie (w 70 r. n.e.). Pozostałość po niej, „ściana płaczu”, jest jednym z najświętszych miejsc Żydów, a zwitki prośb adresowanych do Boga wciskane w szczeliny ‘ściany’ nie mają prawa pozostawiać wątpliwości, że On tam jest w jakimś sensie nadal obecny... Jakże często także chrześcijanie tam pozostawiają zwitki papieru z prośbami, co tylko poświadcza w praktyce ciągłość religijną i kulturową obu Przymierzy, wbrew teologicznym różnicom, sporom, a nawet waśniom.

Nie inaczej jest z tą samą górą Moria w innej religii abrahamicznej, w islamie. Mahometanie na miejscu Świątyni Salomona postawili meczet (Omara), widoczny znak, dowód bezdyskusyjny miejsca, z którego Mahomet został wzięty do nieba. Można tam pójść, zobaczyć to miejsce na własne oczy, doznać głębokiego przeżycia religijnego, by nabrać w tych ścianach pewności, pewności opartej na czymś materialnym.

Zmaterializowany wyraz więzi grozi jej urzeczowieniem, czymś co między Osobami zawsze dodatkowo grozi zaistnieniem pośrednika (wszystko jedno jakiego charakteru: rzeczy czy instytucji), zdeprecjonowaniem Osoby na rzecz ‘rzeczy’ właśnie i wtedy ‘rzeczy’ zajmują miejsce Osoby. Najlepszym tego przykładem był „cielec ulany z metalu” (według innych tłumaczeń: ze złota), zmaterializowany bożek, który miał zastąpić Boga prawdziwego, ‘cielec’, któremu oddawano hołd. Taka pokusa, pokusa unaocznienia więzi z Bogiem, niestety, zawsze będzie istniała. Wystarczy się rozejrzeć...

Inaczej według Nowego Przymierza; miało to Przymierze mieć charakter duchowy; zbędna w miłości do Niego miała być świątynia, jakakolwiek, a jej (miłości) manifestacją jest po dziś dzień eucharystia, więź relacyjna (!), duchowa, albo, mówiąc językiem metaforycznym, więź zadomowiona w „sercu” chrześcijanina. Jezusowa zapowiedź zburzenia (!) Świątyni stanowiła jednocześnie zapowiedź zburzenia Starego Przymierza i ustanowienia Nowego, opartego na wierze, na więzi personalnej. Właśnie Jezus zastąpił więź instytucjonalną więzią personalną!!! Świątynia bowiem stała się symbolem handlu, deprawacji, siedliskiem zbójców (por. Mk XI, 17), a nawet symbolem odszczepieńców, którzy nie żyją już według wskazań zawartego Przymierza. Miał z niej **nie** pozostać kamień na kamieniu (por. Mk 13, 2), jako że był to symbol zma-

terializowanego porządku; jego miejsce miał (!) zająć nowy porządek, nowa forma wiary oparta na więzach pozamaterialnych, na czystej, niezapośredniczonej miłości, na ufności. ‘Miał’ zająć – bądźmy szczerzy, szczerzy do bólu, i nie składajmy fałszywego świadectwa...

Jeżus nie mówił o konieczności budowania nowych świątyń, jako że prawdziwa miłość ich nie potrzebuje i pierwotne chrześcijaństwo takowych nie używało. Więź z Nim, wiarę, w Nowym Przymierzu, odnawiały – zgodnie z Jego postulatami – wcale nie dobra zmaterializowane. Pojednanie z Nim dokonuje się przez pamięć właśnie. To przecież Jego słowa: „To czyńcie na pamiątkę moją” (por. Łk 22, 19 i 1 Kor 11, 24 i 25). Stąd też znamy w chrześcijaństwie taki Kościół, który nawet budynku kościelnego nie traktuje jako *sacrum* (to Kościół reformowany).

Wspomniano wyżej o różnym traktowaniu świątyni (tu: w znaczeniu budynku, czegoś materialnego, naocznego) w Starym i Nowym Przymierzu; przyjrzyjmy się, jaką przyszłość rysuje nam chrześcijaństwo.

Według Janowej Apokalipsy – to wprawdzie perspektywa Nowej Jerozolimy, będąca punktem kulminacyjnym wizji – w odróżnieniu od ziemskiej świątyni w Jerozolimie, w której przebywała Jego chwała, zapewniająca bliską obecność Boga pośród ludu, otóż w odróżnieniu od Starego i Nowego Przymierza „Ap 21, 22 głosi co innego: sam Bóg i Baranek są świątynią; miejsce pośredniej (!) dostępności Boga poprzez kult zajmuje Jego żywa, bezpośrednia (!) obecność. Należący do wspólnoty zbawionych – pisze B. Widła⁴ – nie będą się już gromadzili w określonym miejscu przebywania Boga, lecz sami staną się miejscem Jego obecności. Brak świątyni zatem nie odrzucenie jej, lecz rozszerzenie”, to egzystencjalizacja aktu wiary, uczynienie jej żywą.

A jaka jest proza naszej codzienności, rzeczywistości? Bądźmy raz jeszcze szczerzy: czy nie zdarzyło się każdemu z nas zwiedzać kościoła po to jedynie, by podziwiać jego wystrój architektoniczny, barokowe cuda zdobiące go? Do Kopenhagi, do Fruekirke, zjeżdżają ludzie z całego świata bynajmniej nie po to, by się w niej pomodlić, ale po to, by podziwiać wspaniałe rzeźby, arcydzieła Bertela Thorvaldsena: niezrównaną postać błogosławiącego Chrystusa, postaci apostołów i chrzcielnicę... To kolejny tryumf materii nad duchem, chociaż inspiracją dla genialne-

⁴ B. Widła, *Antropologia egzystencjalnej Apokalipsy Janowej*, Warszawa 1996, s. 361 i n.

go twórcy – który po czterdziestu kilku latach nieobecności w Danii wrócił tylko po to, by te dzieła wyrzeźbić – był duch właśnie.

Wróćmy do przerwanej wątku. W odróżnieniu od Starego Przymierza, w którym więź z Bogiem była materialnie zapośredniczona, według Nowego – miała być miłością niezapośredniczoną, ufnością, miała mieć charakter duchowy, miała się zasadzać nie na czymś *stricte* materialnym, lecz na pamięci. I w tym miejscu rodzi się problem: jak taką wiarę podtrzymywać, jak nie dopuścić do jej upadku, zwłaszcza że w umysłach ludzi tkwi głęboko zakorzenione przeświadczenie, empiryczne: „Nie zobaczę, nie dotknę – nie uwierzę”. To o tyle zrozumiałe, że przecież prawdziwej więzi duchowej zobaczyć w dosłownym znaczeniu tego słowa nie można, co najwyżej jej przejaw. Rodzi się pytanie: czy wiarę = dar można nadbudowywać jedynie na pamięci, pomijając zupełnie (!?) element różny od duchowego, a więc abstrahując całkowicie od pierwiastków materialnych? W europejskiej myśli teologiczno-filozoficznej taką próbę podjął protestancki myśliciel Søren Kierkegaard, m.in. pisząc: „Nawet gdyby równocześnie żyjące [z Jezusem – K.T.] pokolenie nie pozostawiło w spadku nic innego poza słowami: »Wierzyliśmy, że tego to a tego roku ten Bóg ukazał się nam w postaci poniżonego sługi, żył wśród nas i nauczał, a następnie zmarł« – to wystarczyłoby w zupełności, by wierzyć”⁵. Duński teolog filozof wyobrażał sobie to tak, że warunki wiary każdy otrzymuje bezpośrednio od Boga, inni ludzie są wyłącznie pobudką do podjęcia wyboru, pobudką i nikim więcej. Czynniki materialne: rzeczy, instytucje itp. nie mają, nie powinny odgrywać żadnej roli w kształtowaniu się wiary. To nie była u Kierkegarda raz sformułowana myśl, wręcz przeciwnie, to podstawowy składnik jego refleksji religijnej. „Ale Bóg jest duchem i dlatego tylko (?) w sferze ducha może dać świadectwo o sobie, to znaczy we wnętrzu człowieka; każde (?) zewnętrzne świadectwo o Bogu, gdyby było możliwe, równie dobrze mogłoby być oszustwem”⁶. To brzmi nieomal jak wyznanie mistyka, którym Duńczyk nie był, chociaż takie interpretacje usiłowano przeprowadzać. Tak więc żadne „zewnętrzne świadectwa”, żadne rzeczy (np.

⁵ S. Kierkegaard, *Okruchy filozoficzne; Chwila*, tłum. K. Toeplitz, Warszawa 1988, s. 127.

⁶ S. Kierkegaard, *Tre opbyggelige Taler*, København, 1901-1906, *Samlede Værker*, t. III, s. 303; pytajniki – K. T.

pod postacią materialnego *sacrum*, a więc: obrazów, rzeźb itp. nie mówiąc już o relikwiach), nawet Pismo św., żadna tradycja (to motto jednego z podstawowych dzieł myśliciela: *Okruchów filozoficznych*), żadne doświadczenia 18 wieków historii chrześcijaństwa – nie mogą stworzyć podstaw wiary. Czy jest to w ogóle możliwe? W myśl tej refleksji wiara w Objawienie Nowego Testamentu zasadza się jedynie na wewnętrznym świadectwie Ducha św. (*testimonium spiritus sancti internum* – Niels Thulstrup).

Musi się tu zrodzić pytanie: czy to, co najintymniejsze w człowieku, sam akt wiary, już nie mówiąc o jego treści, jest możliwy przy całkowitym (!) odrzuceniu znaczenia rzeczy (szeroko to pojęcie rozumiejąc)?

Wielki kontynuator Duńczyka, Karl Jaspers tak komentował jego myśl egzystencjalno-religijną: „To wielka idea, nie ideał, który potraktowany jako dający się wcielić w życie, okazałby się utopią”⁷.

Oznaczałoby to, że wyeliminowanie znaczenia pierwiastka materialnego (rzeczy, instytucji z całym jej bogactwem form) w kształtowaniu się wiary, ale także w relacji z drugim człowiekiem – jest w praktyce niemożliwe; pamięć musiałaby koniecznie zostać „wzmocniona” (jeśli jest to właściwe słowo) przez czynnik materialny, postrzegalny... Nie ulega wątpliwości, że zapośredniczenie pamięci przez coś materialnego zawsze zawiera w sobie groźbę reifikacji, urzeczowienia. (W przypadku stosunków międzyludzkich zilustrowało to wyżej dosyć dosadnie małżeństwo Sartre’ów).

Zapomina się jednak o tym, że jeśli się coś zobaczy, to się już wie, nabrało się pewności, a nie wierzy. To jest wyżej wspomniana pokusa: „Jeżeli nie zobaczycie znaków i cudów, nie uwierzycie” (J 4, 48).

Ludzie szukają pewności, a tej gwarantem mają być zmaterializowane dowody, zmysłowa naoczność. Jeżeli, upraszczając dla potrzeb tego tekstu, w pojęciu duchowości mieści się zarówno pamięć, jak i wiara, to rodzi się pytanie: dlaczego nie pamięta się (dlaczego?) historii niewiernego Tomasza i komentarza Jezusa: „Uwierzyłeś dlatego, że Mnie ujrzawsz? Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli” (J 20, 29), „a zdanie to ma sens zawsze aktualny”⁸ – głosi komentarz wydawcy do tego tekstu.

⁷ K. Jaspers, *Der philosophische Glaube angesichts der Offenbarung*, München 1962, s. 522.

⁸ *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Poznań-Warszawa 1980, s. 1240.

Pamięć, jak ją chronić? Jak nie zapomnieć? Jak uniknąć fetyszyzmu, bożków, wreszcie reifikacji – nie tracąc autentyczności więzi z Nim i z innym człowiekiem? Jak znaleźć przekonującą wszystkich odpowiedź? Czy taka jest możliwa?...